

665

NIE TAKI FREDRO — JAK GO MALUJĄ

JEDNĄ z bardziej ulubionych przeze mnie książek są „Zapiski starucha” A. Fredry. Gdy kiedyś coś zacytowałam z owych złotych myśli — obecni przy tym ze źle maskowaną czujnością, rozbitym w oczach — u przejmie udawali, iż wierzą w wiarygodność cytatu, a niektórzy po cichu wychwalali mój spryt, że niby, cytując klasyka — sprytnie atakują rzeczywistość, obrzemiała od sukcesów. Ale jak tu nie było przycytować takiego chociażby powiedzonka: „Co wczorajsi głuptasi zbudowali, dzisiaj mędrki burzą. Ale mędrki mądre — nie nie budują, aby jutrzejsze głupcy nie mieli co burzyć”, albo też przy rozważaniach filologicznych na tematy nazw złodzieja po polsku i rosyjsku — Fredro zapisuje, „że należałoby przyjąć słowo moskiewskie, bo u nas jest dużo worów — i haftowanych, i z herbami, i z dewizą: Beatus, qui tenet. — Niechże więc złodziej zwie się wor, a z rozbojem: Anglobank.”

Dlaczego tedy przypominam Fredrę — aforystę, bo przecież z rozsypanych takich perełek mądrości zostały utkane jego wszystkie utwory, a w szczególności właśnie „Pan Jowialski”, zawiera w-sobie tyle powiedzonek i przysłówek, które na stałe osadziły się w naszej mowie potocznej. Często nawet nie podejrzewamy imć Pana Aleksandra, że to spod jego pióra wyszły te wszystkie bon-moty.

Mawiano o Fredrze, że swą twórczością uratował Polskę epoki kłeski po powstaniu listopadowym od melancholii. Co bardziej radykalni krytycy jego twórczości nie szczędzili publicznych, gorzkich słów wyrzutów pisarzowi, ale nawet wówczas, gdy obrażony Fredro odsunął się od życia publicznego i powszechnie uważano, iż złamał pióro — on pisał, tyle, że do szuflady. Jeden z wybitnych historyków zwierzał mi się, iż zamierza napisać książkę o Fredrze, a że — na szczęście — nie jest historykiem literatury, tylko dziejopisarzem i to powszechnie czytowanym — myślę że właśnie opus wnikliwego badacza, nie tylko rozjaśni niektóre zagadkowe epizody biografii pisarza, ale fenomen Fredry stanie się bliższy tysiącom współczesnych Polaków. Pan Aleksander przestanie być przymusowym nadszarem ze szkolnych lektur, a w pełni zostanie doceniony, nie tylko jego swoisty komediowy wdzięk historyjek „z myszką”, lecz także jego odwaga cywilna w podejmowaniu pewnych drażliwych tematów, a także prekursorstwo figlarnych dwuznaczności, jakich nie brakuje ani w „Panu Jowialskim”, ani w „Mężu i żonie”, że nie wspomnę o jego obscenach, ongiś wydawanych i do dziś przechowywanych i to nie tylko przez Jowialskich, ale i co młodsze pokolenia.

Teatr Narodowy pokazał Jowialskiego trochę wbrew utartej tradycji — oglądałam ongiś w tej roli samego Solskiego, dziś kreuje tę postać Wien-cyzław Gliński, artystycznie postawiony przez charakteryzatora. Wcale nie jest to nudny safandula szlachecki, a jeszcze rześki, doświadczony człowiek, odsunięty od możliwości działań politycznych — stąd też audytorium słuchaczy ma niewielkie, los odebrał mu salę sejmową, czy może nawet dowodzenie w wojsku. Stąd mówi: „Czego panowie nawarzą, tym się poddani poparzą.” Ostrzega swych najbliższych „Rybot woda — ludziom zgoda, bez niej nie”. Czyż nie pobrzmiwają tu echa sejmowych swarów na tyłach powstańczych zmagani?

Kim mogą być wędrowcy, którzy przypadkowo znajdują się w domu Jowialskich? W chwili, gdy powstawała sztuka — straszono rozbójnikiem, bo Karpaty blisko... ale nieco później tajemniczy goście mogliby okazać się np. emisariuszami Zaliwskiego, szukającymi możliwości wzniecenia nowego powstania. Wien-cyzław Gliński okazał się więc nowym, zupełnie innym od tych dobrze już znanych dowcipnych staruszków z białych dworców. Także pani Jowialska w interpretacji Janiny Nowickiej — na szczęście nie zagrała sędziwej staruszki, ale finezyjną damę, która doskonale wie, jakie dwuznaczności opowiada jej ukochany mąż. Wbrew scenicznej tradycji rozgrywa także swoją rolę szambelana — Wojciech Brzozowicz. Jego bohater — to człowiek pełen pasji, udający dla świętego spokoju oportunistę, żeby mu tylko nie przeszkadzano oddawać się temu, co uważa za swe prawdziwe powołanie. Ucieka w swój świat, udaje taktownie, że w ogóle nie słyszy nudnych tyrad małżonki i gadaniny otoczenia. Wie swoje, ale nie spieszy się z ujawnianiem swoich poglądów: to przecież także człowiek doświadczony przez życie.

Trudne role mieli trzej młodzi ludzie. Rywale, Marek Wójcicki i Marek Wysocki oraz Wiktor w interpretacji Andrzeja Malca, usiłowali pogodzić stylowych fredrowskich bohaterów, z wersją zachowań współczesnej młodzieży. Nie zawsze wychodziło to na dobre przedstawieniu, ale wdzięk młodości ratował w takich chwilach. (Na sali teatralnej zauważyłam sporo młodzieży szkolnej, której bardzo odpowiadała taka właśnie koncepcja reżyserska Tadeusza Minca). Bardzo pomysłowa i nowoczesna okazała się scenografia Małgorzaty Treutler, obliczona także na teatralną tubalczkę).

W sumie było to jedno z najbardziej pogodnych przedstawień, jakie oglądałam w ostatnich latach, jako że nie jesteśmy pod tym względem rozpieszczani przez nasze teatry. Przy tej okazji nie mogę się oprzeć i takiej refleksji, że dobrze jest posłuchać polszczyzny takich mistrzów — jak Fredro. Taki wieczór odświeża i wzbogaca nasz zubożały codzienny język. Zaczynamy się zastanawiać nad tym, jak mówimy: słowem — sami sobie obiecujemy poprawę. A na zakończenie przypomnę trochę jeszcze mądrości naszego Jowialskiego z białego dworku na Chorążczyźnie, czyli samego mistrza Fredry: „Dla równouprawnienia zdjęto złodziejom w kryminalach kajdany, bo spekulanty po giełdach wolno chodzą”. Czyżby przewidywał pan Aleksander nasze jarmarki wielkomięjskie, handlujące książkami i darami z dalekich zagranic? Albo o niedawnym Konkursie Chopińskim „Krytyka w muzyce trudniejsza, aby nonsensów nie wypisać. Ale to nie wstrzyma. Pochwalony — milczeć będzie. Znawca — się usmiechnie. A zresztą nikt nie czyta”.